

Matysiaki w Nowym Jorku

TEATR. Edward Redliński przyjechał na premierę

W „Cudzie na Greenpoincie” nie usłyszymy o sobie niczego więcej niż u cłoci na Imieninach lub w słuchowisku o Matysiakach.

Gdyby nie talent Zdzisława Kuźniara, rozchichotany biust Marty Klubowicz i hollywoodzka scenografia Jana Banucha, na „Cudzie” można spokojnie dwie godziny drzemać.

To rzadkość, by w sztuce obyczajowej teatralność spektaklu ratował scenograf i kompozytor. Banucha wybudował na scenie sugestywny „subway”, obskurną norę, w której wegetują nowojorscy szczuropolacy – jak przezwali ich Redliński. Kolory i faktura murów, hiperrealizm detali – tandeta drzwi, okien, mebli i sprzętów – sprawia, że ściany żyją własnym życiem. W kontakcie z ciałem aktora są sugestywne jak tła płócien Dudy-Gracza. Znacomie widać ich plastyczną urodę w sekwencjach rozświetlanych światłem stroboskopu. Czujemy się przez moment jak na dobrym filmie.

Równie dobrze towarzyszy amerykańskiemu snom polskiej biedoty muzyka Wojciecha Jagielskiego – od okarynowego zaśpiewu w smutku Potejta (Zdzisław Kuźniar) po rapujące podrygi Serfera (Paweł Delag). To, że „Cud na Greenpoincie” dobrze się ogląda i słucha, jest komplementem wobec dwóch kwadransów spektaklu. Przez pozostałe półtorej godziny Redliński po prostu nudzi.

Historię wykiwanych przez kapitalizm znamy z anegdot opowiadanych w każdym podmiejskim pociągu. O Ameryce wysysającej krew z robotnika i chłopca oraz o rodakach żerujących na krzywdzie współplemieńców opowiadał już ze sto lat temu Sienkiewicz w „Za chlebem”. Współczesne rewelacje Redlińskiego nie odbiegają od głębi Sienkiewiczowskich analiz. Co prawda jeep zastąpił konia, ale to jedyny wyjątek. „Cud na Greenpoincie” to literatura trywialna i sensacyjna. Nic ponadto.

Typki Redlińskiego opowiadają Amerykę jak nieudolnie rymowany polish joke.

Wszyscy w nim jesteśmy kurwami, złodziejami lub durniami i jak w każdym dowcipie nie ma tu miejsca na tragedię. Wszystko jest groteskowe – śmierć, wywieziona za ocean pamięć o skomunizowanym kraju czy głupota polskich snów o emigracji. Tu nawet Bóg nie jest sprawiedliwszy od lottomatu, a przeznaczenie bywa jak refren o mafii śpiewany przez Kazika Staszewskiego.

Ten literacki zakalec krasi jedna zaledwie rola. Zdzisław Kuźniar najprostszymi środkami aktorskimi budzi głębokie wzruszenie widowni. Banalny tekst tak obudowuje mimiką, gestem, barwą głosu i pauzą, że jego opowieść o człowieku, który całe swe życie zawierzył rodzinie i Bogu, naprawdę wywołuje skurcz gardła lub szczery uśmiech. Potejto Kuźniara z naj-

prostszych zachowań odbudowuje radość, tęsknotę, miłość, udrękę i ból innych ludzi. To wielka i rzadka dziś sztuka.

Jeśli los człowieka jest refrenem rockowej piosenki, to Zdzisław Lesień wyreżyserował refren za długi. Na osłodę dał widzom kuse spódniczki i efektowne dekolty Marty Klubowicz i Gosławy Biernat. Warto na „Cudzie” posiedzieć, gdy gra muzyka, stroboskopy bawią oczy, a Wiwi i Teriza latają prawie gołe pomiędzy szóstką szczuropolaków. Resztę można przedrzemnąć, bo „Matysiakowie” wciąż lecą w radiu.

LESZEK PUŁKA

Edward Redliński, „Cud na Greenpoincie”,
reż. Z. Lesień, scen. J. Banucha, muz.
W. Jagielski. Premiera 30 listopada
w Teatrze Współczesnym